

sędziego. Był trochę blady, a jego zapadłe oczy ciskały jadowite błyski na sędziego.

Sędzia rozpoczął natychmiast:

— Pytam pana, panie markizie, czy jesteś pan zdecydowany wyjawić mi stosunek, jaki łączył pana z hrabiną Kowską, dawną Gizą Cornary? Proszę nie szukać żadnych wykretów, bo dzisiaj rano dowiedziałem się o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami. Czy zechce pan przyznać, że umówiłeś się z hrabiną, by zamordować księcia de Bligny, małżonka jej, a rękę jego posłać do pałacu barona de Brepont?

— Nie, ani myślę przyznać się do czegoś podobnego! — wykrzyknął markiz, lecz w głosie jego nie było zwykłej pewności.

— W takim razie może mi pan odpowie na drugie pytanie: Czy nie żywił pan jakichkolwiek nadziei co do ręki baronówny Leontyny de Brepont?

— Odmawiam odpowiedzi!... — zazgrzytał markiz.

— To mi wystarcza! — rzekł sędzia. — Dzięki Bogu jesteśmy już blisko rozwiązania tej tajemniczej zagadki!

Pociął guzik; we drzwiach ztanał urzędnik, który poprzednio wyprowadził księcia. Jedno skinięcie i sędzia został zrozumiany.

Markiz de Lerma niespokojny, rzucał od czasu do czasu wzrokiem na cicho stojącego Bernarda. Tego człowieka nienawidził bezgranicznie.

Nagle podniósł głowę.

Z pokoju, obok położonego, wyszła postać i ledwie markiz ją poznał, cofnął się, wyciągając ręce przed siebie. Twarz zbłądła mu śmiertelnie i jakieś drżenie przebiegło po całym ciele.

— Zmarły książę! — wykrzyknął głosem, który zdawał się zamierać mu w gardle.

Podczas gdy Anatol de Bligny stał spokojnie, markiz zataczał się tak, że detektyw musiał go wesprzeć. Posadził go na krześle i szepnął mu w ucho:

— Czy zechce pan się teraz przyznać?

— Do wszystkiego, co tylko chcą odemnie — wyjąkał, chwytając oddech.

Księcia odprowadzono napowrót do celi, a markiz de Lerma, kompletnie złamany, złożył zeznanie. Spodziewał się on zyskać rękę Leontyny, gdy książę zniszczył nagle jego nadzieje. Od tej chwili nienawidził go serdecznie. Przypadkiem poznał się z hrabiną Kowską i dowiedział się, o tajemnicy, w której książę de Bligny grał szczególną rolę. Pracował nad tem, by zazdrość i nienawiść spotęgować do najwyższego stopnia. Krótko przed ślubem powrócili do Paryża i markiz umówił się z hrabiną, by księcia zabić. Oddawał jej przez to wielką przysługę, jak przypuszczał, przez co torował i sobie drogę do Leontyny de Brepont. Jednak wszystko poszło inaczej, jak zamyślał. O tem, że księcia nie zamordowano, nie wiedział i dlatego zjawienie się jego wywarło na nim takie wrażenie.

Tutaj zatrzymał się markiz de Lerma.

Sędzia musiał jednak powziąć już jakieś postanowienie, bo zwrócił ostry wzrok na markiza i rzekł zimno:

— Przyznaje pan tedy, że zamordowałeś hrabinę Kowską i wrzuciłeś ją do Sekwany?!

— Skąd pan wie i o tem? — wyrwało mu się

Lecz w najbliższej chwili poznał, że się zdradził.

„Szklane oczko“ doradził podczas przerwy sędziemu, by zaskoczył podsądnego przez takie pytanie i podstęp udał się znakomicie.

Nie pomógł mu nic i musiał opisać całe zdarzenie. Wyjaśnienie było całkiem proste. Owej nocy udał się również do starego domu na ulicę św. Marcina, aby rozmówić się z hrabiną. Nie spotkał jej jednak, a w hotelu powiedziano mu, że hrabina zamyśla wyjechać.

Zły, że współniczka nie mu o tem nie powiedziała i jak się zdawało, chce mu ujść, wybiegł i przyszedł w pobliże dworca. Zobaczył przed sobą jakąś postać niewieścian, za którą pewien czas szedł, lecz potem stracił ją z oczu.

Potem usłyszał krzyk i zobaczył dwie postaci, które prawdopodobnie pasowały się.

Spiesznie nadbiegł bliżej i zetknął się z jakimś mężczyzną, którego z powodu ciemności, nie poznał. Otrzymał pchnięcie w piersi, a tamtem zbiegł natychmiast.

Rozchodziło mu się głównie o to, by poznać, kim jest ta kobieta, która podniosła się właśnie z ziemi. Kilka słów wystarczyło, aby go upewnić, kogo ma przed sobą. Hrabina była jak oszalała. Krzyczała coś i chciała się puścić w pogoń za uciekającym, a gdy markiz chwycił ją za rękę, ude-

rzyła go pięścią. Obawiał się, by ktoś z przechodniów nie usłyszał krzyku Gizy i nie wziął go nawet za mordercę, przeto zatkał jej usta. Przez to pogorszył jeszcze sprawę, bo Giza zaczęła wzywać policyi. Wtedy chwycił ją i wrzucił do Sekwany.

Sędzia spisał zeznania markiza protokolarnie i kazał go odprowadzić.

Jeszcze w ciągu tego samego dnia doniósł dozorca więźniów, że markiza Lermę znaleziono nieżywego w jego celi. Powiesił się on na skróconej chusteczce.

Dalsze śledztwo poszło szybko. To, co Lis mógł zeznać, zeznał wszystko. Oczekiwało go dłuższe więzienie, lecz nie ciążyło na nim morderstwo.

Książę de Bligny otrzymał w przeciagu 24 godzin po odsłonięciu tajemnicy swego życia wiadomość, że zostaje wypuszczony z więzienia śledczego. Czekala go jeszcze rozprawa o strzał, dany na Bernarda, lecz wyrok nie mógł wypaść źle, ponieważ książę musiał w nim widzieć złodzieja.

Następnego dnia popołudniu zjawił się w więzieniu stary Franciszek z pełnym kufrem ubrań. Stary był tak wzruszony, że nie mógł wymówić ni słowa. Książę był poważny i milczący.

Niespodziewana wiadomość, że został wypuszczony z więzienia śledczego, nie zrobiła na nim wrażenia. Wyraz bólesci nie znikł z jego oblicza.

W powozie, który sprowadził Franciszek, opuścił pałac sprawiedliwości i odjechał do swego mieszkania.

Gdy usłyszał za sobą zamykającą się bramę, wyrwał się z piersi jego głębokie westchnienie.

Z jakimi nadziejami przejeżdżał przed kilkoma dniami przez tę bramę, a jak powracał dzisiaj!

Czuł, że otrzymał ranę, której nigdy nie wyleczy. Przez wargi przemknęło się imię jego narzeczonej. Leżała ona ciężko chora w domu ojca, który z pewnością zamknął się przed nim na zawsze. Nigdy mu z pewnością tego nie daruje, więc nie pozostało mu nic innego, jak opuścić co najrychlej Paryż, by pod obcym niebem szukać ukojenia bólu i rozpacz.

Dom wydawał mu się pustym, gdy wszedł do niego i godzinami siedział w swym pokoju, patrząc przed siebie.

Prędko dowiedziano się, w jaki sposób zakończyła się sprawa o tę sensacyjną zbrodnię. Dzienniki podały sążniste artykuły, a także baron Brepont wiedział wszystkie szczegóły.

Czy mógł jednak uwiadomić Leontynę o wypadkach?

Wahał się jeszcze długo, drżąc o życie dziecka, gdy pewnego razu weszła Leontyna. Zdrowa natura przemogła chorobę.

Leontyna chwyciła się przy wejściu portyery, a baron podbiegł do niej z okrzykiem bólesci.

— Cóż ci brakuje?

W tej samej jednak chwili zobaczył w jej rękach gazetę. Teraz już wiedział, co zaszło. Poprowadził córkę do krzesła, zauważył jednak ku wielkiej swej radości, że Leontyna przyszła już do siebie.

— On jest niewinny, całkiem niewinny! — wykrztusiła.

Łkanie dobyło się z jej piersi i przeszła nagle w straszny śmiech.

Zmieszany baron wpatrzył się w córkę, której policzki pokrył gorączkowy rumieniec.

— Kochasz go jeszcze zawsze, dziecko — wyrzekł i coś, jakby nadzieja, rozlało się po jego obliczu. — Lecz on oszukał nas, tając przed nami swe pierwsze małżeństwo.

— Czynił on tylko z powodu mnie, ojcze — odpowiedziała Leontyna. — Dlaczego ucieka od nas, gdy ja przecież usycham za nim z tęsknoty.

Baron ujął Leontynę w swe ramiona, a w niespełna dwadzieścia minut opuścił w powozie pałac.

Przygotowania do podróży księcia de Bligny były ukończone i ciężko dotknięty ten człowiek zamyślał następnego dnia opuścić Paryż. Myśl o zobaczeniu Leontyny przed rozstaniem, nie opuszczała go ani na chwilę. Nie znajdował jednak sposobu, jakby to skutecznie. Dlatego chciał kilku słowami przynajmniej pożegnać ukochaną.

Gdy skończył list i podniósł się z ciężkim sercem, zameldował Franciszek, z twarzą, w której przebiega radość i trwoga, jakiegoś pana.

— Nie przyjmuję nikogo — rzekł ponuro książę.

— A może dla mnie zrobi pan wyjątek — odezwał się baron de Brepont, wchodząc do pokoju księcia.

Ten nie wierzył własnym oczom, wyjąkał kilka słów i oparł się o biurko.

— Jak widzę, pisałeś pan list a koperta adresowana do mnie — ciągnął baron dalej, rzuciwszy

okiem na biurko. — Pozwoli pan, że go od razu przeczytam!

Z uśmiechem rozdarł baron kopertę i przebiegł list oczyma; spoważniał nagle, gdy go chował do kieszeni i zwrócił się do księcia:

— Podaj mi pan rękę, Anatolu — rzekł wzruszonym, prawie drżącym głosem. — W ostatnich dniach przecierpeliśmy niewymownie dużo! Było to doświadczenie, które wystarczy na całe życie! Dlaczego nie pytasz o narzeczoną? Mam przecież prawo myśleć, że interesujesz się Leontyną!

Nagły rumieniec wystąpił na twarz księcia.

Ujął wyciągniętą ku niemu rękę barona i jak powódź popłynęła słowa przez jego usta. To, że dochowa do końca życia miłości dla Leontyny, musi przyznać nawet największy jego nieprzyjaciel i że nad wszystkimi jego występami poprzedniego życia świeci mu ta miłość, jak gwiazda!

Co jeszcze powiedział dalej, to było może bezsensowne, lecz twarz barona, słuchającego tego, przybrała napowrót wyraz zadowolenia i szczęścia.

— Dlaczego chcesz pan wyjeżdżać? — zapytał, gdy książę zamilkł wieszcie na chwilę i jeżeli masz już pan tak stanowczy zamiar, to poczekaj przynajmniej do wesela i zabierz potem ze sobą Leontynę!

Z łkaniem rzucił się książę w ramiona swego teścia.

Nie potrzebujemy chyba zaznaczać, że baron zabrał z sobą księcia. Także scena, która rozegrała się tam, pomiędzy Leontyną a uważanym za umarłego narzeczoną, przebiegła wśród łez, aby skończyć się ogólnym uściskiem.

W tak sensacyjny sposób przerwane małżeństwo księcia z Leontyną, odbyło się w tym samym kościele w 14 dni później. Może przeciągły się tymczasem oblicza obydwójgu, lecz w ich oczach błyszczała słodka nadzieja na zawsze wywalczonego szczęścia.

Baron de Brepont, którego wypadki nie mniej dotknęły, zauważył w dzień ślubu, że włosy poczynają mu siwieć na skroniach, lecz nie robił sobie z tego nic, bo w sercu jego zapanowały napowrót wesołość i zadowolenie.

Lis został skazany na dłuższe więzienie i słuch o nim zaginął.

Tylko „Szklane oczko“, powszechnie wystrzegany detektyw Bernard, oddaje ciągle usługi paryskiej policyi i czeka na najbliższą interesującą zbrodnię.

Co mu się nie udało, to to, że nie zdołał wyśledzić, czyje to były zwłoki, które podstawiono za księcia de Bligny.

Mimo pilnych poszukiwań pozostało to nierozwiązaną zagadką.

KONIEC.



Kącik humorystyczny.

Cięty.

Znany z ciętego dowcipu doktor M. odwiedził niedawno pracownię młodego artysty-malarza ** chorującego od jakiegoś czasu na manię wielkości.

— No jakże maluję teraz? — pyta artysta mecenasa.

— Zdaje mi się, że przed rokiem robiliście o wiele lepiej.

— Ależ mecenasie — broni się przyszła sława — przed rokiem nic nie robiłem.

— No właśnie dlatego — przerywa mu doktor M.

Nasze dzieci.

Pan X spotyka swego synka beczącego w głos na ulicy.

— Co ci to Franiu? — pyta malca rozczulony — Kto ci to zrobił?

— Mama mi powiedziała, że jestem przebrzydły smarkacz!

— I o to tak bardzo płaczesz?

— E! to jeszcze nic, ale powiedziała także, że ze mnie będzie taki sam nicpoń, jak z taty.

W oburzeniu.

Ciotka: No, Maryniu, co ci się też pierwszej nocy pod moim dachem śniło? Pierwszy bowiem sen miewa zawsze swoje znaczenie.

Marynia (śmiejąc się): Ha! ha! ha! Niech ciotunia tylko słucha. Śniło mi się, że wujcio jak szalony mnie całował.

Ciotka (wściekła do męża): Ależ Janie! Raz na zawsze zabraniam podobnych beceństw!